

DZIECIŃSTWO

„...i uważaj na małego Gerharda. Bądź mu ojcem chrzestnym. Ma zaledwie parę dni, a już mnie traci. O, Boże, trzymaj nad nim Swą rękę! Pomagaj też mojej drogiej Agacie. Znasz ją przecież od młodości. Jakże jej teraz będzie ciężko... Czworo małych dzieci, nie ma jeszcze domu, nie ma stajni, jest tylko stodoła. Matka nie zna jeszcze swego Zbawiciela, który mógłby ją pocieszyć. A któż wie, kiedy tu wrócę i czy w ogóle wrócę. Czy Pan Bóg zechce przyprowadzić mnie z powrotem?”

Łzy zgasiły ostatnie słowa. I wtedy rozstali się. Stary przyjaciel i sąsiad pozostał sam, młodego osadnika zabrali Rosjanie. Właśnie wybuchła wojna i kiedy obaj udawali się do miasta, wzięto ich z drogi do niewoli. Ich osada leżała bowiem tuż przy granicy.

Minęły dwa lata.

Ciężko pracowała młoda matka przy zwożeniu z pola. Dzieci pozostawały same. Starszy chłopiec miał się opiekować młodszym, ale Robert skończył wówczas dopiero 6 lat i jeszcze musiał pilnować gęsi. Matka zmęczona i głodna przyszła do domu, by nam dzieciom przygotować jakąś strawę. Chciała jeszcze zrobić masło. Rano, zanim wyszła na pole, postawiła maselnicę pełną śmietany. Gdy potem wracała, mały Gerhard wybiegł jej na spotkanie, cały wysmarowany śmietaną. Przeczuwała najgorsze. Tak, maluch chciał chyba stanąć na maselnicy — jak to dzieci lubią — i wywrócił się razem z nią. Cała śmietana przepadła. To niemal majątek w ciężkich wojennych czasach, kiedy jedynie za masło można było coś w mieście nabyć. Matka nie mogła przeboleć tej straty.

– Dziecko, coś ty zrobił? Ja ci za to przysolę!

Chwyciła za kij. Na dziecko spadły razy. Nagle gwałtowniejszy krzyk – dziecko przewróciło się i już się nie poruszało. Dostało nieszczęśliwie w głowę, jak to nieraz w zdenerwowaniu bywa. Zatrwożona matka pobiegła do sąsiadki, krzycząc:

– Radke, pomóż mi, zatłukłam swego Gerharda na śmierć, a przecież nie chciałam! Pomódl się, to może jeszcze ożyje...! Pobiegły obie. Szybko natarły dzieciaka mokrymi ręcznikami. Otworzył oczy. Upadły na kolana, płakały i dziękowały Bogu.

Gerhard został przy życiu. Ale to nieprzemyślane uderzenie miało ciężkie następstwa. Dziecko nie umiało już powiedzieć „mama”. Co prawda, często układało buzię do wypowiedzenia jakiegoś słowa, ale wszystkie wysiłki kończyły się na jękanii. Matka czyniła sobie ciężkie wyrzuty, płakała i lamentowała. Zaczęła się też modlić.

W owym czasie, w roku 1916, sprowadził się do naszej wsi pewien wierzący człowiek w średnim wieku, z rodziną. Nazywał się Fryderyk Kowalski. Pewnego dnia rozmawiał z naszym sąsiadem Radke, gdy tymczasem dwuletni Gerhard bawił się w piasku ze starszym o rok braciszkiem. Radke wtedy powiedział:

— Ten chłopak będzie kaznodzieją.

— Masz oczywiście na myśli Zygmunta? — spytał Kowalski.

— Nie, Gerharda — odpowiedział sąsiad.

— Skądże to wiesz?

— Bóg mi to wyjawiał.

— Oby Pan Bóg pozwolił ci, bracie, dożyć tego, co ujrzałeś. Fryderyk poruszony do głębi i zamyślony wrócił do domu. Nadal modlił się o to dziecko, które tak bardzo się jąkało. Dopiero po wielu, wielu latach, w 1959 roku, w godzinie wielkiej pokusy, dowiedziałem się od brata Fryderyka Kowalskiego o tej rozmowie.

Znów minęły dwa lata pełne trwogi. Wojna zbliżała się do swego okropnego finału. Chociaż dla naszego narodu oznaczało to przegraną, wiele matek i dzieci cieszyło się na powrót swych mężów i ojców. Pewnego dnia wrócił też z Syberii mój ojciec. Pamiętam jeszcze jego powrót. Byłem właśnie na podwórku, kiedy zobaczyłem jakiegoś nadchodzącego mężczyznę. Był dla mnie kimś obcym, ale nie uciekałem. Zbliżył się i obdarował mnie słodyczami. Potem wziął w ramiona i już instynktownie wiedziałem, że to mój tata!

W owym czasie bardzo ciężko chorowałem. Przychodzili sąsiedzi, otaczali łóżeczko, modlili się i ze starego śpiewnika śpiewali smutne pieśni. Ojciec postanowił zawieźć mnie do szpitala. Pościelono mi na furmance. Ojciec jeszcze raz się pomodlił i pojechaliśmy do odległego powiatowego miasteczka. Jednak po drodze polepszyło mi się, ale rodzice nie przerwali podróży, lecz zawieźli mnie do lekarza. Przesilenie choroby już minęło i mogłem wrócić do domu.

Brat Fryderyk i mój ojciec znali się od najmłodszych lat. Prawie jednocześnie znaleźli Zbawiciela, będąc w kolonii niemieckiej w Rosji. Na naszym osiedlu doszło teraz do potężnego przebudzenia. Matka również się nawróciła. Pamiętam, jak nieraz o tym opowiadała. Mówiła dosłownie: „Narodziłam się na nowo, jak dziecko z matki”. Niektórzy z nawróconych wywędrowali do Ameryki Południowej, gdzie przebudzenie się rozszerzało.

Jako jąkała byłem przez inne dzieci często wyśmiewany. Bardzo mnie to złościło. Zaczęto mnie przezywać: „Złośnik”. Miałem już 7 lat i należało pójść do szkoły, ale szkoła była dla mnie zamknięta, gdyż nie potrafiłem mówić. A ja tak bardzo chciałem się uczyć! Często, kiedy patrzyłem jak idą do szkoły moi bracia, siostra lub dzieci sąsiadów, bardzo się smuciłem i płakałem. Matka z trudem mnie uspokajała.

Znaleziono wszakże dla mnie pożyteczne zajęcie. Najpierw musiałem paść gęsi, potem krowy. I były to moje najpiękniejsze czasy. Kiedy gęsi się najadły, kładłem się i patrzyłem na chmury jak ciągną po niebie, rozmyślając nad tym, dokądże one tak lecą. Nieraz przy takim rozmyślaniu zapominałem o gęsiach, które szły wtedy na pole sąsiadów, za co dostawałem od matki porządne lanie.

Na nabożeństwa zabierano mnie zawsze razem z pozostałym rodzeństwem. Przed południem czytano tam kazanie, po południu mówił brat Fryderyk Kowalski, mój ojciec lub kto inny. Raz po raz wygłaszali też obszernie kazania przyjezdni bracia. Wiele także śpiewano. Chór prowadził mój ojciec. Grał dobrze na skrzypcach, ale śpiewał cichym głosem, bo na Syberii nabawił się choroby serca.

Pewnego razu, gdy miałem 8 lat, siedziałem na jednym z takich spotkań z prawej strony drzwi. Sąsiad czytał grubą książkę z kazaniami.

Było mi bardzo smutno, bo czułem się przez wszystkich poniżany i nie rozumiany. Pragnąłem mieć w rękach śpiewnik „Pieśni Królestwa”, ale nie dano mi żadnego. Inni na pewno myśleli, że nie ma po co, skoro przecież nie potrafię się włączyć do śpiewu. Tym bardziej słuchałem kazania. I wydało mi się nagle, jakbym był dorosły. Stoję oto przed dużym stołem. Ludzie wypełniają jakąś salę, a ja czytam z książki, z Biblii. Przez dłuższą chwilę miałem ten obraz przed oczyma, doznając wielkiej szczęśliwości. Potem to zniknęło. Wiedziałem jednak, że mi się to nie śniło. Owo przeżycie pozostało we mnie do dziś żywe. Wróciwszy do domu byłem weselszy niż zwykle. I od tamtej niedzieli język mój się powoli rozwiązywał, jękanie ustępowało i zacząłem wymawiać słowa. Miałem jednak bardzo duże trudności z głoską „r”. Występuje ona dwukrotnie w moim imieniu i dwa razy w nazwisku. Dopiero po kilku latach udało mi się wymówić poprawnie swe imię i nazwisko. Teraz mogłem już iść do szkoły. Wkrótce też umiałem już płynnie czytać. Wtedy Biblia stała się moją ulubioną lekturą. Frapowały mnie starotestamentowe historie i wydarzenia. Ciągłe od nowa czytałem pierwszą księgę Mojżesza, Jozuego, Sędziów, Księgi Samuela, Królewskie i Księgi Kronik. Wówczas to zostały położone podwaliny pod moją biegłą biblijną pamięć, tak że do dzisiaj nie potrzebuję korzystać z żadnej konkordancji. Raz na tydzień odbywała się również w domu rodziców godzina biblijno-modlitewna. Musiałem oczywiście na tym bywać. Często stawiałem pytania odnoszące się do spraw biblijnych i w ten sposób wyostrzała się moja pamięć.

Nasz drugi sąsiad był zamożnym gospodarzem. Posiadał dużo pola, pastwisko i las. Nasze pole graniczyło z jego ziemią. Niekiedy musiałem paść krowy, również na jego pastwisku. Nierzadko zdarzało się, że mnie przy tym zaskakiwał. Ale ów człowiek — którego nazywaliśmy „ojcem Neumannem” — nie był taki jak inni. Nigdy na mnie nie krzyczał, nigdy mi nie rozkazywał, bym wyganiał bydło z jego pastwiska, lecz pozwalał mi przychodzić do siebie i siadać obok. Wówczas zaczynał opowiadać o Jezusie, często całą godzinę. Potem mówił: „No, Gerhardzie, chyba już się krowy dosyć napasły”.

I odchodził. Tego człowieka nazywano w naszej wsi „zielonoświątkowcem”. Chodził na zgromadzenia z niewielką grupką ludzi do innego domu. Mój ojciec utrzymywał z nim dobre stosunki sąsiedzkie. Kiedy odbywały się większe spotkania, nazywane uroczystościami misyjnymi, na które ludzie przyjeżdżali z daleka, wtedy łączono oba te zgromadzenia. Pewnego dnia brat Fryderyk Kowalski, również przyjaciel ojca, dał się ochrzcić i dołączył do tych zgromadzeń zielonoświątkowych, jakie rozpowszechniały się szybko w całej wiosce.

Matka była im bardzo przeciwna. Pamiętam to jeszcze z dzieciństwa. Zielonoświątkowców odwiedził pewien nawrócony pastor ewangelicki, który przyjechał z Niemiec. Nazywał się Gensichen. Na zgromadzenia przychodziło dużo ludzi i w owym czasie nawróciło się na nich wiele dzieci. Pewnego dnia ojciec był gdzieś w podróży, a matka nie pozwoliła nam, dzieciom tam iść.

Przed południem i po obiedzie musieliśmy uczestniczyć w naszym zgromadzeniu, ale dowiedziałem się, że w porze obiadowej ma być tam lekcja dla dzieci. Niepostrzeżenie wymknąłem się z domu i pobiegłem do zielonoświątkowców. Wprawdzie nie było na tej lekcji pastora Gensichena, gdyż miał zwyczaj drzemać sobie po obiedzie również w niedzielę, ale i tak bardzo mi się tam spodobało. Nabożeństwo prowadził brat Fryderyk Kowalski i Pan Bóg pozwolił mu obudzić dla Zbawiciela również serca dziecięce. Gdy wróciłem do domu, matka spytała:

— Gerhard, gdzie byłeś, może u zielonoświątkowców?

— U wujka Fryderyka, mamu.

— Ja ci tych zielonoświątkowców wybije z głowy! – I dostałem różgą po plecach.

Mimo to często jeszcze chodziłem na owe zgromadzenia dla dzieci i czułem się tam bardzo dobrze. Uczyłem się tam też pieśni oraz poszczególnych fragmentów Biblii na pamięć. Niejedna pieśń do dziś pozostała w moim sercu.